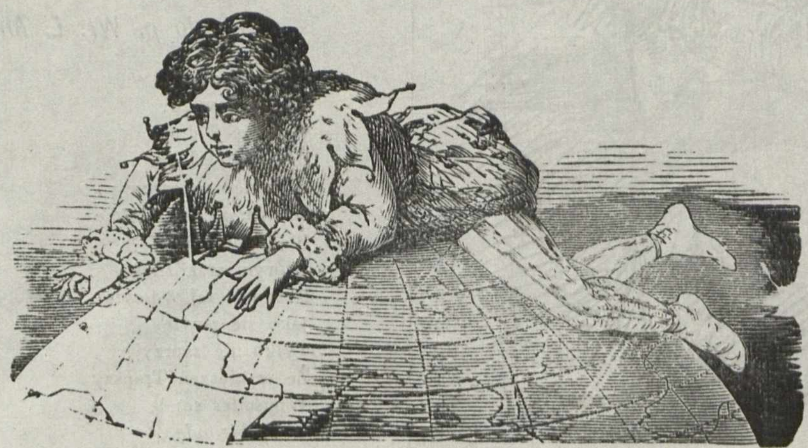
Nr. 48. Lwów, Sobota dnia 27. Listopada 1875. Rok VII.

SZCZUTEK

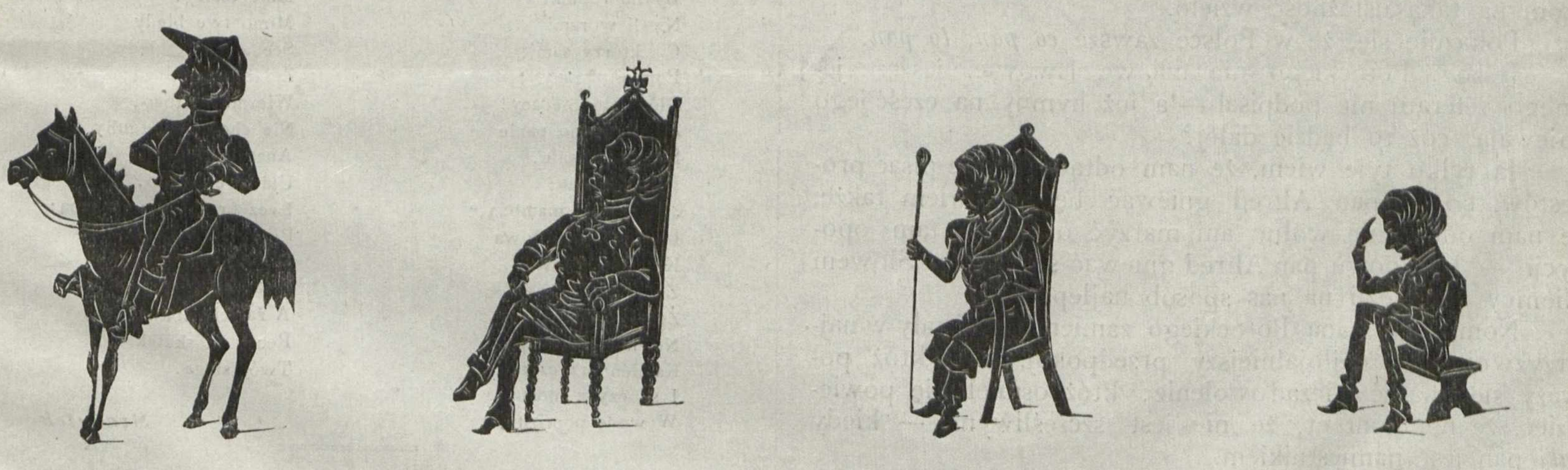
Szczutek wychodzi od roku 1869 co Niedzielę.
Prenumerata zamiejscowa z przesyłką pocztową kosztuje całorocznie 10 złr., półrocznie 5 złr., ćwierćrocznie 2 złr. 50 ct., miesięcznie 85 ct.
W Wielkiem księztwie Poznańskiem 5 talarów.
We Francji, Szwajcarji i Włoszech całorocznie 21 franków.
Prenumerować można w redakcji „Szczutka“ przy ulicy Sobieskiego, gdzie sklep Jürgensa, pod liczbą 4 I. piętro: we wszystkich księgarniach i ajencjach dzienników i we wszystkich urzędach pocztowych.
Reklamacje nie opłacają się.
Listy przyjmują się tylko opłacone.
Manuskrypta nie zwracają się.



Prenumerata we Lwowie kosztuje z przesyłką pocztą miejscową do domu całorocznie 10 złr., półrocznie 5 złr., ćwierćrocznie 2 złr. 50 ct., miesięcznie 85 centów.
Numer pojedyńczy kosztuje 20 ct.
Dodatek zawiera łamigłówki, szarady, zadania szachowe i inseraty.
Inseraty drukują się za opłatą 6 ct. od wiersza drobnym drukiem w jednej szpalcie. Stronica inseratowa zawiera cztery szpalty.
Inseraty przyjmuje: Administracja Szczutka; drukarnia K. Pillera; Ajencja W. Piątkowskiego przy placu katedralnym.
W Wiedniu: Ajencje Haasensteina Vogel. — W Berlinie: Rudolf Moose.

PISMO SATYRYCZNO-POLITYCZNE.

Dumka pana Potockiego.



Jako prezes dżokejklubu: Tu mi było najwygodniej...

Jako prezes ministrów: Ten fotel już mniej wygodny...

Jako prezes wydziału: Oj tu już bardzo niewygodnie.

Jako namiestnik: A na tym stołku ponoś będzie najgorzej!...

Podsłuchane.

— W czem się okazuje najjaśniej ów sławny spryt polityczny Węgrów?

— Ha — najjaśniej w sposobie, jakim zdegustowali tych, co przy najbliższej rewizji traktatu ugodowego marzyli o zaprowadzeniu wspólnego kredytu i wspólnego długu państwowego w Cis i Translitawji.

— I jakiegoż to sposobu użyli?

— A no, narobili w kilku latach tyle długów, że i najzaciętszego centralisty odstraszą od wspólności.

— Przyznać im trzeba, że sprytnie to urządzili. Źli gospodarze — ale dobrzy politycy.

SŁÓWKO

w obronie prześladowanej niewinności.

O co się już nareszcie do ks. Goljana nie przyczepią, to przechodzi wszelkie pojęcie. Świeżo korespondent *Dziennika Polskiego* zarzucił temu słudze bożemu, że dochody parafjalne obraca na wycieczki do wód, a skutkiem tego inni sludzy bozcy, obsługujący zarządzaną przez niego parafję, muszą odprawiać nabożeństwo w brudnej bieliźnie. Być może, że tak jest, ale w takim razie nic księdzu G. zarzucić nie podobna, gdyż Pan Bóg jako dobry gospodarz pieawej musi dbać o zdrowie, niż o czystą bieliznę służebników swoich. Pilniejszym więc jest wydatek na wycieczkę do wód, niż na praczkę.

W prokuratorji lwowskiej.

— Jacy ci dziennikarze śmieszni. Skonfiskowano wczoraj przypadkiem „Tagblat“ w Wiedniu i zaraz o tem piszą wszystkie dzienniki.

— Ot zwyczajnie, trafiło się ślepej kurze ziarnko i gdacze.“ My tu inaczej gospodarowaliśmy, a było cicho. Polak trzyma się ludowego przysłowia: *Do czzho byk prywykł*, i milczy, choć go całego skonfiskujesz.

Wielmożny pan Kalasanty.

Herbu „Dobrynos"



— No, Galicjaninie, każ ziemię twoją wyścielić dywanem — aby stąpanie twoje nie budziło *pana*, oto słowa *Gazety narodowej*.

Ja tam mocium panie, z gazeciarzami w dysputę się nie wdaję — dziwi mię tylko, zkąd się naszym gazeciarzom na taką usłużność wzięło.

Pokazuje się, że w Polsce zawsze *co pan, to pan*.

Jeszcze Potockiego nie ma we Lwowie, jeszcze jednego referatu nie podpisał — a już hymny na cześć jego spiewają, cóż to będzie dalej?

Ja tylko tyle wiem, że nam odtąd już nie pisać protestów, bo się pan Alfred gniewać będzie; wiem także, że nam odtąd nie wolno ani marzyć o jakiejś tam opozycji — bo znowu pan Alfred gniewać się będzie. Słowem Niemcy wynaleźli na nas sposób najlepszy.

Nominacją pana Potockiego zamienili kraj cały w najprzyzwoitszy i najlojalniejszy przedpokój, bo i któż poważy się okazać niezadowolenie, któż ośmieli się powiedzieć, że nie kontent, że nie jest szczęśliwym, — kiedy *taki* pan jest namiestnikiem.

Pozostaną tylko dziwacy, którzy zawsze coś wynajdą; ci zapewne powiedzą, że im wszystko jedno, czy gubernatorem pan czy nie pan, czy Potocki czy Zabłocki, czy Mennsdorf czy Benedek — bo zawsze to tylko gubernator — a nie wojewoda. Ale ty poczciwy Galicjaninie, nie dozwalaj dziwakom zawracać sobie głowę, gódź się z tem co jest i krzycz wiwat — tylko nie bardzo głośno, bo może i to zmęczyć *pana*. Dixi.

Listy otwarte Szczutka

do p. Wł. L. Anczyca w Krakowie.

Panie Anczycu,
Mój królewicu,
Wiernieś i długo
Był sceny sługą.
W końcu nareszcie
W Warszawie mieście
Błąd popełniłeś,
Którym zrządziłeś
Krzywdę tej wdowie
Jako się zowie.
Tylko nie zaprzyj,
Że w kieszeń Trapszy
Wpuściłeś sondę
O *Trebizondę*.
Temis mu zgardła
Ruble wydarła,
A twoim śladem
Ogromnem stadem
Wnet sztuko-roby
Od owej doby
Robią gwałt wielki,
By im rubelki
Nieśli worami
Ci, którzy sami,
Pomimo pracy,
Głód mrą biedacy!
Znasz pewno panie
Święte pisanie,
Powiada ono:
„Wzgardzaj mamoną,"
I są w niem słowa
Których osnowa,
Że kto jednego
Zgorszy małego,
Niech sobie lepiej
Kamień przyczepi
I skoczy z mostu
W wodę poprostu...

Tyś zgorszył wielu,
Mój przyjacielu,
Przykład twój mali
Za wzór obrali,
Gdy więc w tej dobie
Przyczepisz sobie
Wielki grzeszniku
Choć po kamyku
Za zgorszonego,
Ciężaru tego
Nie będziesz w stanie
Dźwignąć, mój panie!
Policz się jeno
Ty z Melpomeną,
Czy jej intraty
Niesiesz czy straty?
Dałeś sztuk dużo,
Które jej służą,
To zysk, lecz stratą
Jest, że chcesz za to
Rozwiać na wiatry
Małe teatry!
Mimo twe błędy
Scena ma względy,
Żeś był jej sługą
Wiernie i długo,
Nie chcę twej zguby,
Anczycu luby.
Ujdzie ci sucho,
Lecz przejm się skruchą:
Posyp popiołem
Włosy nad czołem
Powiedz „peccavi"
A żal cię zbawi!
Ręczy za skutek
Twój sługa,

Szczutek.

F E J L E T O N.

ŻÓŁTE PIEŚNI.

VIII.

O szarej godzinie.

Codzień, gdy szara godzina
Zwiesi nad światem płaszcz ciemny,
Szelest się jakiś zaczyna
W izdebce mojej tajemny.

Wszystkie, tak miłe Jej sprzęty,
Pamiątek owite przędzą,
Sądząc, że jestem snem zdjęty
Swobodnie sobie gawędzą.

— Ach, Boże — kanapa zacznie,
Matrona poważnej miny —
Jakże mi teraz opacznie
W tym domu płyną godziny!
Niegdyś tuliłam ich dwoje,
Jak matka, na mojem łonie,
Dzisiaj!...

— Dziś wyszło na moje! —
Rzekł obraz w surowym tonie —
Czylim, na miejscu tem samem,
Gdy tkliwą wiedli rozmowę,
Wburzony przysiąg jej kłamem,
Nie spadł im niegdyś na głowę?! —

— Któż wiedział?! — okno odpowie, —
Wszak nieraz w blaskach księżyca
Tonęły tutaj ich lica
O usta w niemej rozmowie;
Te kwiaty — dziś z liściem suchem —
Ustami zrywała płocha,
Schylona nad jego uchem
Szeptając: „kocha? nie kocha?"
I któżby nie dał był wiary
Tej duszy w tkliwość bogatej?

On wierzył — i ja — i kwiaty —
I księżyc — ów skeptyk stary!
A dziś!... —

Tu rwę się na nogi
Gwar ten do śmierci mnie trudzi,
I słyszę odgłos przestrogi:
— Pst! Nasz pan biedny się budzi!...
I naraz to całe życie,
W głęboką zapada ciszę:
Tak, że w niej oddech mój słyszę
I pulsów pospieszne bicie!...

IX.

Przeklęta i błogosławiona.

Przeklęta śmiechem bądź na mojej twarzy,
Rozkoszy wirem, w którym głuszę jęki —
Hulaszczą nutą cynicznej piosenki
Co lawą płynąc, usta moje parzy!

Spokoju kłamstwem, gdy pierś bólem wzdęta,
Szczebiotem kobiet, — gdy duch mój cię słyszy
Mnogością ludzi i ubóstwem ciszy:
Dni moich wszystkich życiem, bądź przeklęta!

Lecz, — o najmilsza — bądź błogosławiona.
Melodji burzą w ducha mego niebie.
I tym, co nigdy nie milknie, nie kona,
Dźwiękiem mych pieśni, zrodzonym prze z ciebie

Koniec żółtych pieśni. *O.*

(Z albumu „Szczutka.“) Ze świata pedagogicznego.



Zygmunt Sawczyński, szedł zawsze paralelnie z dolą pedagogji w Galicji, a była ona pod wozem, to i pan S. był pod wozem, udało się jej wydobyć choć trochę na wóz, widzimy i pana S. na wozie. Kiedy system Bacha wprowadził do szkół galicyjskich „das Verdummungssystem“ i ciężką pałką biurokratyczno-konkordatową uderzył po łbie pedagogję, dostało się wtenczas i panu Sawczyńskiemu. Hofdekretem kazano mu z katedry ustąpić; — poszedł jako człowiek „piśmienny“, do redakcji „Czasu“ i orał w ciężkim pługu redaktorskim pod bacznem okiem ówczesnej cenzury. — Przyszedł rok 1861 — Galicji pozwolono gadać czego pragnie — pozwolono jej radzić o sobie; — z początku rzeczy przyszła kolej na pedagogję — przypomniano sobie biedaczkę a z nią i pana S. i widzimy odtąd oboje idących razem do boju, zkąd wracali to z tryumfem, to znów pobici. A pani pedagogja miała swoje grymasy: zachciewało się jej jeść, chciała rozwodu z konkordatem, miała zachcianki patrjotyczne i wiecznie, jak wszystkie kobiety, narzekała, że nie jest równouprawnioną — toż nie dziw, że miała niechętnych; i Wiedeń i ksiądz, ba i szlachcic bywali na nią zagniewani; kto więc jej praw bronił — miał z temi trzema potęgami do czynienia, a kto stał w pierwszym szeregu walczących, jak pan S. ten miał zapewne żelazne nerwy, jeżeli nie ustąpił. Nareszcie pani pedagogja zwyciężyła, ale rycerzom swoim nie dozwala wypoczynku — więc też i pan Sawczyński musi być dyrektorem seminarjum nauczycielskiego, musi być radzcą szkolnym, musi być prezesem towarzystwa pedagogicznego, a nie bez tego, aby i w Sejmie nie był zmuszony groźną palnąć mówkę na cześć swej bogdanki, która zawsze jeszcze nie mało sprawia ambarasu swym obrońcom.

Szmajgeles.



— Nu, to była eine feine politische Idee zrobić w Trzebini pana Auersperga obywatelem od honorzi żydowskiego! Nu, czemu nie, Trzebinie jest także miasto — ist auch eine Stadt. Apropos Trzebini to ja wiem takie anegodoty: Raz powiada Icyck do Mortka: „Ty Mortko, ty się nie wstydzisz? Aj, ty dostał w Trzebini w pisk na samem środku miasta.“ A Mortku jemu na to: „Ny, co mi za miasto, Trzebinia, hersty, wszystkiego dwa tysiąców mieszkańców.“ Nu Mortko, miał recht, ale co innego dyplom honorowy — a co innego pisk — nu i co innego pan Auersperg, a co innego Mortko — so a gemeiner Mortko. Teraz jest Trzebinia prawdziwa Kulturstadt, und das war a feiner Kopf, co ten dyplom wymyślał. A soi!

Sprawozdanie z działów Akademji umiejętności.

LISTOPAD.

Na porządku dziennym wybór prezesa komisji historycznej, którą to godność dotychczas piastował pan *Antoni Walewski*.

Po złożeniu kartek do urny i wyjęciu ich następnem okazuje się, że pan Walewski nie otrzymał żadnego głosu, pan Szujski wszystkie.

Mając już wszystkie głosy pan Szujski, postanawia zabrać jeszcze jeden, swój własny i przy jego pomocy wypowiada mówkę dziękczynną, która brzmi jak następuje:

Panowie! Dziękuję wam za zaszczyt, jakim mnie obdarzyliście, ale pozwolę sobie wyjaśnić, jak ja ten wybór pojmuję. Sądzę, że pan Walewski nie za to odrzuconym został, że był sługą moskiewskim i nieukiem, jak mu to wykazali różni niepoprawni krzykacze, a w ich liczbie i ja sam także, ale za to, że się nie zamykał w obrębie tych dwóch swoich specjalności; lecz chciał jeszcze być politykiem. Z tego tylko powodu nie był on godnym przewodniczyć nadal gronu waszemu, i dla tego na jego miejsce mnie obraliście.

Po wysłuchaniu tej mowy uchwalono, ażeby treść jej została ogłoszoną w dziennikach, jakkolwiek żaden z członków Akademji nie chce wierzyć ni przepuszczać, żeby pan Szujski miał rzeczywiście spełnić kiedykolwiek program, który sobie w tej przemowie sam może o tem niewiedząc nakreślił.

Krzycząca niesprawiedliwość!

Nowy gwałt popełniono na kulturze niemieckiej!

Gdyby nie inseraty *Czasu*, niktby nie wiedział, że w więzieniu Krakowskiem osadzony został jakiś znakomity poeta, wygłaszający pieśni swoje w języku tejże kultury.

Hymn więźnia na cześć dyrektora więzienia, napisany po niemiecku i wydrukowany jako inserat w Krakowskiem piśmie, odkrył światu tę tajemnicę.

Rzecz oczywista, że uwięzienie męża tak świetnie władającego mową Goethego i Schillera — męża, który powinienby znajdować się na stanowisku pioniera cywilizacji w barbarzyńskiej Galicji, mogło nastąpić jedynie w skutek intrygi polskiej.

Zbrodnia tego znakomitego człowieka, mogła być chyba jaka *licentia poetica*, a choćby mu nawet udowodniono, że z zasady dążył do centralizowania w swojej kieszeni swoich i nieswoich chustek do nosa, bo jeszcze i wtedy byłoby barbarzyństwem pozbawiać go wolności — za to, że chciał być wiernym swoim przekonaniom politycznym.

Gwałt dokonany przez to uwięzienie i obraza wyrządzona tym sposobem kulturze germańskiej, powinny być należycie skarcone.

Mamy nadzieję, że w tym celu przedsięwzięte zostaną odpowiednie środki, a mianowicie:

1.) Nakazanem zostanie natychmiastowe uwolnienie z pod klucza autora niemieckiego hymnu na cześć dyrektora Krakowskiego więzienia.

2.) Udzieloną zostanie temuż autorowi odpowiednia renumeracja i wyznaczonem mu zostanie stanowisko, na któremby mógł być dla misji szerzenia kultury w Galicji najpożyteczniejszym.

3.) Sąd Krakowski, a dla kompanji i wszystkie inne sądy w całej Galicji wezwane zostaną do wytłómaczenia się, jakiem prawem licencje poetyckie rymotworców niemieckich podciągają pod paragrafy ustawy karnej, i jak śmią stawać się narzędziem do tłumienia centralistycznych idei.

4.) Wydane będą rozporządzenia i zaprowadzone reformy, jakie rząd uzna za właściwe, ażeby na przyszłość poezja niemiecka przez sądy Krakowskie i Galicyjskie, w osobach swych reprezentantów w podobny sposób znieważaną być nie mogła.

Na kurytarzu Rady Państwa.

— Słyszałeś, że krakowski pałac biskupi ma być za obszerny na mieszkanie?

— A któż to powiedział tak mądrze?

— A pan Stremajer w odpowiedzi na interpelację Dunajewskiego.

— Stremajer to powiedział! I ciebie to jeszcze zadziwia? onby wszystko ściśniał, bo każdy człowiek ma swoje pojęcia, jeden szerokie a drugi ciasne.

Korespondencje redakcji.

— R. we Lwowie. Może kiedyś! — M. w Krakowie. Nie od razu Kraków zbudowany! — L. w Kr. Później. — St. w Wadowicach. Zkądże ta łaska? — Zt. we Lwowie. Poszło do kosza.

☛ **Zwracamy uwagę na dodatek i na inserat „Haliczanina.** ☚

KRONIKA ILUSTROWANA.

(Miesiąc Listopad.)



Grzeczny gość ministerjalny: „O, Polaku — ty będziesz mądry, ale po szkodzie“



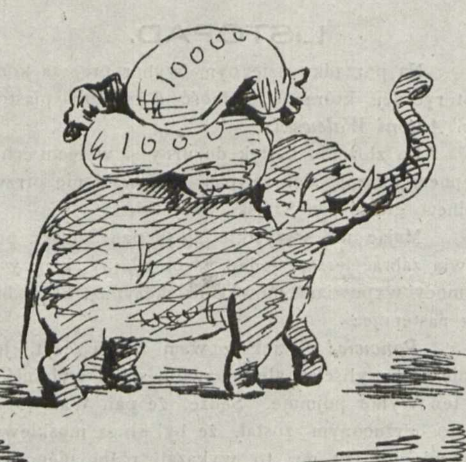
Nabożna polityka Czasu: „Dobry polityk świeci Bogu i djabłu świeczkę!“



Biały niedźwiedź pó łnocy: „Pokażę światu, że i ja bańki puszczać umiem!“



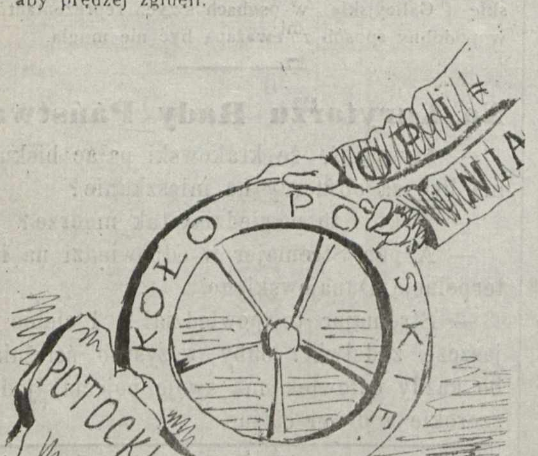
W Hercogowinie: „Cóż bracie, biały car nie bardzo nam pomaga?“
— E, on swoim Sławianom pomagać musi — aby prędzej zginęli.



W teatrze lwowskim: „Jeszcze żaden śpiewak tyle nie wyśpiewał, ile ja!“



Na peronie w Wiedniu: „Pan Dobrodzie nie ma ze sobą nic.“ — „Nic — tłumoki zostały w Wiedniu.“



Opozycja zahamowana czyli złej tanecznicy i fartuszek zawadza!



Rozczarowanie dobrodusznego Galicjanina: „W bezwzględnem zaufaniem postawiłem 25 — a tu panie siódemka — i wierz tu teraz polityce!“



Potocki: „No cóż Dobrzański, zadowolonyś, he?
Dobrzański: „Oj i bardzo — bo też co pan to zawsze pan.“

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Liberat Zajączkowski.

Czcionkami K. Pillera.

Dodatek do Nr. 48. Szczutka.

Sobota dnia 27. Listopada 1875.

!! Nakład 2.000 egzemplarzy !!

Zadanie konikowe

		szczę-	dwa-	dźwi-	mo-	i	i	chu-	czło-		
		po-	nie-	i	biach	gną	wie-	ón	zło-		
nię-	zem	w je-	śli-	gą	że	dni.	nek,	niej	dob-	za	po-
sił	gich	dzy,	si	A	wsi	stroj-	tem,	ko-	le	cie,	niej-
ra-	pie-	jak	być	naj	czło-	nie-	je-	chu-	o	trze-	to
dru-	no-	żniej	więc	coś	giem	dni,	wie-	wie-	wi	szych	Znał
no,	scy	ło	za-	bie-	ka,	wiek	ra-	To	ba,	pła-	ła-
kto	mo-	więc	zna-	w ser-	Lecz	z Bo-	Bóg	czło-	chę	w cno	bra-
wszy-	lo-	wsze	by-	chle-	ra-	ści	tro-	Tro-	ci,	ski	ci...
i	się	gdy	czył,	czył,	cu.	bem	gnąć	ło-	Że	Że	cie.
		dzie-	choć	ło	I	sce	chę	by	nie-		
		Ma-	ni-	chłeb	A	dźwi-	ba,	w Pol-	mi-		

Za rozwiązanie tego zadania przeznaczone są premje dla czterech prenumeratorów: Kalendarz na rok 1876, p. t. „Haliczanin i Noworocznik Szczutka.“ Jedna dla Lwowa, trzy dla prowincji.

Rozwiązanie Łamigłówki z nr. 47.

Słowa dane: Este, Léger, Kolowrat, Bem, Litawor, Erdelyi.

Uporządkowane: Kolowrat, Litawor, Este, Bem, Erdelyi, Leger.

W zygzak czytane dają: „Kremer Libelt.“

Kotyljon i Kadryl.

Fotografja bez retuszu.

II.

Dziś o trzeciej z południa.

(Dokończenie.)

— Więc odprawa?
— Na krótko.
— Tego za wiele!
— Od pana koniec zależy.
— Więc mam odejść?
— Tego nie mówię.
— Więc zostać i cierpieć tortury?
— Jeszcze nie po ślubie, a już zazdrość! To zbyt wcześnie.
— Po ślubie byłoby za późno.
— Pan jesteś niegrzeczny i nudny.

Romuald nie słuchał i nie słyszał tej rozmowy. Zapatrzony w wir tańczących — okiem ich ścigał — a duszą był ztąd daleko.

Do l. W. 26.995/1875.

Obwieszczenie.

Celem zabezpieczenia dostawy szutru na drogę Zimnawoda-Hoszany w ilości 2.540 metrów sześciennych w cenie fiskalnej 5.948 złr. 50 ct., odbędzie się dnia **5. Grudnia b. r. publiczna licytacja w Wydziale powiatowym Gródeckim.**

Warunki licytacyjne mogą być przejrzane bądź w Wydziale powiatowym w Gródku bądź w Wydziale krajowym Departament IV.

Oferty możua składać także wprost do Wydziału krajowego na jeden dzień przed powyż wyznaczonym terminem.

We Lwowie dnia 19. Listopada 1875.

(1—1)

„Następne pary“.
Romuald zerwał się, podał rękę Malwinie.
— Czy wolno odbijanego? — odezwał się Teobald do Romualda.
— To nie polones, odpowiedział Romuald.
— Proponować wolno.
— Lecz wolno nie przyjąć propozycji.
— Pan nie przyjmuje?
— Nie.
— Ja żądam.
— Tem mniej widzę powodu.
— Panie Szarzyński!
— Panie Porytko?
— Do widzenia.
— I owszem.
— Niech pan poszuka papy, panie Teobaldzie.
— „Cotillon“.
Wirem porwani, zniknęli w nawałnicy.
Teobald stał — patrzył za niemi, wreszcie poszedł.. na skargę do pana Dorębalskiego.

III.

— Pan dawno powrócił?
— Pół dnia temu i wiek cały.
— Jak to pogodzić?
— W godzinie przeżyłem życie.
— Znowu to czarne słowo.
— Bo czarno w duszy.
— Trzeba rozświetlić.
— Gdzie dłoń, co wniesie do duszy pochodnię?
— Trzeba poprosić.
— Najpierw poszukać.
— Jest w pańskiej dłoni.
Malwina ścisnęła rękę Romualda, Romuald silniej ujął danserkę i uściskiem na uścisk odpowiedział.
— Tej duszy wiele trza światła!
— Zkąd powód zwątpienia?
— W pragnieniu.
— Miłość prawdziwa nie ma granic.
— Owszem, miewa swój koniec.
— Lecz nie w zapomnieniu?
— W miłości szalonej.
— Nie rozumiem.
— Kochamy sercem, kochamy wyobraźnią, kochamy zemstą i szałem.
— A pan?
— Serce mam zatrute, wyobraźnię zastygłą.
— A zemsta i szał?
— Świeże, rozpłomienione.
— Szał nie trwa długo, o zemście się zapomina.
— Miłość zostaje, zaczęta w szale.
— Pan bardzo nieszczęśliwy?
— Szczęście w ręku pani.
— Cóż mam uczynić?
— Podzielić się sercem z rozbitkiem.
— Masz je pan całe.
— Malwino!
— Romualdzie!
I jeszcze szaleńszym wirem się zakręcili, oddechy się ich

zmięszały, rozpłomieniły czoła, serca biły gwałtownie. Płynęli po sali, jak lawa wulkanu.

— Usiądźmy, zmęczona wyszeptała Malwina, wsparłszy się na ramieniu Romualda, bezsilna prawie rzuciła się na kanapę.

— Malwino, miłość moja spalić może.

— Innej nie szukam miłości.

— Dla czego Teobald taki śmiały?

— Ma być moim mężem.

— A ja?

— Kocham cię nad życie.

— A jego?

— Jemu oddaję rękę, a tobie serce!

„Rondo“.

Romuald nie tańczył już z Malwiną: strętwiały zapomniał o balu, o całym świecie — czuł tylko, że chciałby teraz być daleko, bo męczyły go światła, muzyka, wstrętem przejmowała wesołość tańczących.

— O czem myślisz?

— Odpoczywam.

— Po tańuu?

— Po wrażeniach.

— Czy zmęczyły?

— Zabiły.

— Miłość nie zabija.

— Taka, żywego kładzie do trumny.

— Niewdzięczny!

— Potworna!

— Czy mogę pani służyć? odezwał się porucznik od ułanów, zbliżając do Malwiny.

— I owszem, odpowiedziała z uśmiechem i wirowała z ułanem, jak przed chwilą z Romualdem.

Romuald zerwał się z miejsca, biegł do garderoby, chciał uciekać z balu, szukał ciszy, spoczynku; zdawało mu się, że bal mu sprawiał niepokój, a burzę niepokoju zamkniętą miał w piersi.

— Za pozwoleniem, zawołał na progu Teobald.

— Czego?

— Stałem za kanapą, słyszałem.

— Tem lepiej dla pana.

— Tego pan wiedzieć nie możesz.

— Tak sądziłem, panu zostawiam wolność zdania.

— Pan za to odpowiesz.

— W jaki sposób?

— Pistolety!

— Czy zaraz?

— Przyszlę świadków jutro.

— Mieszkam w hotelu europejskim pod Nr. 42.

Skończył się Kotillon, porucznik od ułanów był rozpromieniony, Malwina czarowała uśmiechem; Teobald tego nie widział. Romuald pobiegł do domu, Teobald siedział w kącie sali.

Bal się skończył, zostawiając po sobie odpadki tarlatanu, zwiędłe kwiaty, zmęczenie i wspomnienie, że przez chwil kilka poiło się szałem.

* * *

Pan Teobald wstał nazajutrz z bolem głowy; lecz zupełnie wytrzeźwiony po wczorajszych toastach. Przebudzenie było dlań boleśne. Zawiedziona miłość, pojedynek — to było za wiele dla spokojnego ducha, wówczas jeszcze kandydata na profesora.

Nie było rady. Wycofać się z pojedynku jedyny środek. — Ubrał się prędko, pobiegł szukać przyjaciół w niedoli. Po dłuższej naradzie stanęło na tem, żeby przeprosić. Posłał pana Ignacego, przyjaciela od serca pod nr. 42 w hotelu europejskim. Parlamentarz wrócił prędko; lecz ze smutną wieścią, bo Romuald przeproszenia nie przyjął i upiera się, aby się strzelać na dzieSięć kroków.

Trzeba więc było wybrać sekundantów.

Pan Ignacy dobrał sobie towarzysza i sekundanci byli gotowi. Romuald wskazał swoich, pojedynek ułożono za dwa dni w lasku na Pohulance.

Teobald stracił apetyt, nie spał i zmizerniał, jakby wstał z ciężkiej choroby.

Fortuna opiekowała się filologiem. Gdy po bezsennej nocy, po raz sto ośmdziesiąty siódmy kończył spacer od drzwi do okna swego pokoju, na zegarze ratuszowym wybiła 9ta, a do drzwi zapukał listonosz.

— Proszę podpisać recepis.

Drzącą ręką podpisał, rzucił okiem na adres i jakoś niezabierał się do otwarcia listu, bo cóż go w tej ohwili listy i cały świat obchodził, gdy za 24 godzin miał patrzeć w czarny wylot pistoletu swego przeciwnika?

Pomału złamała się jakoś pieczątka, kowerta rozdarła, list się rozwinął, pan Teobald zaczął czytać z początku obojętnie, potem coraz bliżej list do ócz przysuwał, potem powstał, ręce mu drżały, ale na twarzy zaczęło coś promienieć jakby radością — wreszcie podskoczył doktor filozofji i szalał z radości.

— Ba! na cóż się to przydało? — kiedy pistolety już może nabijają — rzekł spuszczając głowę posępnie.

Zamyślił się — potem list czytał po raz drugi.

Kochany Teobaldku!

Ciesz się, wygrana nasza. Jeżeli kto kiedy nie znalazł znakomitej partji, to ty znalazłeś coś takiego, czego ci nawet najbujniejsza wyobraźnia nie wytworzyła. Wyobraź sobie: panna Eufrozyna, jedynaczka — rodzice mają wieś o 1700 morgach, nota bene czystą, ani centa długu, możesz się przekonać w tabuli in lib. Dom. 417, która spadnie na córkę po ich śmierci, (oboje dosyć starczy, szczególniej ojciec bardzo chorowity) — i dwadzieścia ośm tysięcy w gotówce, które zaraz przy ślubie oddadzą zięciowi.

Staraj się o posadę w naszych stronach — przyjeżdżaj, przybywaj — wszystko ułożone. Opisałem cię najdokładniej, naturalnie możesz sobie wyobrazić, że nie szczędziłem pochwał i języka. Twój ulubiony Homer nie miał ani w połowie tej dosadności w przedstawieniu rzeczy.

Panna Eufrozyna była cierpiąca cokolwiek i dla tego źle widzi na jedno oko. Złośliwi powiadają, że zerwała. To nieprawda, pośliznęła się raz i odtąd utyka na prawą nogę. Nic prawie nie znać, zaręczam ci. Serce złote, doświadczenie przytem, niechętni powiadają wprawdzie, że ma lat 30, ale to nie prawda. Rodzice przysięgają się, że zaczęła 25ty. Jest w twoim wieku; ale to nie szkodzi, takie małżeństwa bywają często najszczęśliwsze.

Przybywaj, przybywaj!

Twój całem sercem
Faustyn Getowicz.

P. S.

Ale, ale, — napisałem do Fliega, żeby głupstw nie robił i moich weksli nie skarżył. Obiecałem mu, że za trzy miesiące

zapłace. Jestem pewien, że do tego czasu się ożenisz. Fliegowi jestem winien tylko 875 złr.; zanotuj sobie, żebyś wiedział jak się po ślubie urządzić. Tutaj mam tylko 300 złr. długu, a krawca nie liczę, bo to pójdzie do jednego rachunku z nowym frakiem na twoje wesele.

— Co za złoty interes! gdyby tylko nie pojedynek — myślał pan Teobald. Tysiąc siedmset morgów! W tamtych stronach ziemia dobra. Gdyby tylko w przecięciu liczyć morg po 75 złr., to już krociowy majątek. A gotówka! Ej, do djabła, jaki ja głupi? I cóż mi trzy kamieniczki? Jedna na Chorążczyźnie o jednem piąterku i cóż warta? Może jakie pięć tysięcy. Druga na Gródeckiem, daleko, gdzie kurz, błoto — a trzecia w Rynku, ot ta ostatnia coś warta; ale to tyle świecy i wosku.

Panna Eufrozyna! Ładne imię, a że zezowata i kulawa, to lepiej dla mnie. Nie będzie tańczyć kotyljona i spoglądać na jakiego Romualda.

Ba! ale posady, posady!

Pan Teobald zerwał się i wybiegł do miasta, potem dał sobie frak odprasować i wkrótce znalazł się w Namiestnictwie u referenta spraw szkolnych.

Z rogu Amalteji lało mu się dziś szczęście. Gdy przyszedł, właśnie podpisywano mu dekret na profesora w tem mieście, gdzie Faustyn przebywał, a zkąd było tylko trzy mile do panny Eufrozyny.

IV.

Radość jego nie miała granic. W dekrecie wyrażono, aby natychmiast objął urzędowanie.

— A, pojedynkuj się z samym djabłem — ja nie głupim. Dekret, wieś, 28 tysięcy! Bądźcie zdrowi i pisujcie do mnie na Bedyczów.

W godzinę spakował manatki i już był w drodze. Do pana Dorębalskiego posłał list krótki, pożegnalny.

Szanowny Panie Dobrodzieju!

Panna Malwina postąpiła ze mną niegodnie; przekonałem się, że jej wychowanie i usposobienie pod względem psychologicznym, smutne wydają owoce. Niech szuka innego męża, ja wyjeżdżam za granicę.

Teobald Porytko.

Romuald uspokoił się nieco, ale to uspokojenie było raczej zapowiedzią katastrofy, jak zdrowiem. Sposępniał, zdziecinniał — czasami przestawał myśleć i czuć i zdało mu się nieraz, że jakiś sen tłoczy mu głowę, chociaż spać nie mógł. Nazajutrz po balu był jeszcze zupełnie przytomny, chociaż rozdrażniony, zbolały, trzeciego dnia stracił apetyt, czuł ociężałość w nogach, nad wieczorem położył się — i na drugi dzień, gdy właśnie stanąć miał do pojedynku, leżał już bez przytomności, sam jeden, bez opieki. Dopiero koło południa, gdy z pustego placu boju wrócili jego sekundanci i wprost do hotelu zajechali, by się dowiedzieć, co się dzieje z Romualdem, że nie przybył — gdy wczoraj umówił się z nimi, że sam pojedzie o 9tej rano; dopiero wtenczas sztuka lekarza i życzliwa dłoń przyjaciół otoczyła go troskliwością, której bardzo potrzebował w tyfusie.

Kilka tygodni przeleżał, przecierpiał,

Teobald wyjeżdżając, z nikim się nie pożegnał i wyjazd jego dla wszystkich był tajemnicą.

Tymczasem pan Dorębalski oburzył się listem Teobalda i pokazując go panu Celestynowi, rzekł: „Niech-no ten chłystek nawinie mi się kiedy, dam ja mu! Biedna Malwińcia tak płacze! kochała go strasznie, a tu zawód taki!

O Romualdzie nic nie wiedziano, ani u wdowy, ani u pana Dorębalskiego. Helena nie dopytywała się wcale; lecz po balu bardzo była smutną przez czas długi, a dłużej niż zwykle modliła się w domu przed Matką Boską Częstochowską i nieraz klęcząc, tuliła twarz łzami zalaną w drobniuchne rączęta.

Uspokoiła się powoli — a gdy potem uśmiechać się zaczynała, to zdało się, że jasny promień wytryska z jej czoła; szczególniej, gdy spoglądała na swoje siostrzyczki — to była jakby „na świętym obrazku.“

Jakoś przed ostatkami podniósł się Romuald z łóżka — a w miesiąc potem gdy do sił powrócił, dowiedział się, że Helena została panią Dorebalską.

Wyjechał Romuald i przez lat kilka pracował przy kopaniu kanału suezkiego; dopokąd go tęsknota do kraju nie przyciągła, a kolej Albrechta nie powołała.

Teobaldowi nie powiodła się wyprawa. Panna Eufrozyna, chociaż utykała na prawą nogę i była zezowata, nie zdecydowała się wyjść za mąż za niego. Powiedziała przyjaciółce, że Teobald wydaje się jej mimo doktoratu filozofji za głupim.

Biedny pan Faustyn został w kłopotach ze swoim Leib Fliegiem; lecz biedniejszy Teobald. Gdy przemyśliwał nad tem, jakby powrócić do trzech kamienic i do panny Malwiny, dowiedział się, że pan Dorębalski wyprawiał wesele. Ponieważ stosunek pana Cyprjana do Heleny trzymano przed nim w tajemnicy, jak i przed całym światem — z wyjątkiem pana Celestyna — przeto ani przypuszczał. aby to inne było, a nie panny Malwiny wesele.

Inna partja nie trafiała mu się wcale i lat dwanaście przebył na posadzie w prowincjonalnem miasteczku. Po dwunastu latach ucieszył się, że go przeniesiono do Lwowa, gdzie spodziewał się jeszcze powodzenia w stolicy.

III.

Dziś w pół godziny po trzeciej.

Panna Malwina przyszła zupełnie do przytomności; lecz dziwne w całem towarzystwie panowało usposobienie.

Helena była zamyślona, inżynier smętny, panna Malwina milcząca, profesor wciąż zakłopotany. Nikt nie miał odwagi pierwszy zawiązać rozmowy.

— Jest loża proszę pani, rzekła Antosia wchodząc z biletem i afiszem.

Helena korzystając, że znalazła w tej chwili jakieś zajęcie, rozwinęła afisz i rzekła od niechcenia:

— Lepiej późno, jak nigdy — to nie zła komedja.

— Lepszą byłaby. Lepiej nigdy, jak późno — odpowiedział inżynier.

— Nie zawsze! — rzekła rumieniąc się i spuszczając oczy Helena.

— A jednak słyszał ktoś kiedyś, taki tytuł z ust pani.

— Nie był to wreszcie tytuł do komedji, rzekła smutno Helena.

— A dziś?

— A dziś? Dziś w teatrze komedja „lepiej późno, jak nigdy", odpowiedziała podnosząc głowę i lekki uśmiech zawisł na ustach, a oczy jej dopowiadały tyle, tyle, że inżynier przysunął się z fotelem i wziąwszy rękę Heleny, pocałował ją serdecznie.

— Przed dwunastu laty jechałem do Lwowa pełen najświetniejszych nadziei, a pani byłaś wówczas narzeczoną. Dziś nie miałem żadnych.

— Jestem od pięciu lat wdową, po dobrodzieju mej rodziny.

— Więc wolno mi powtórzyć: „Lepiej późno, jak nigdy"?

— Powtórzymy całem sercem oboje.

Romuald był najszczęśliwszym i zdawało mu się, że śnił tylko boleść i tęsknotę lat dwunastu.

— Zakończmyż panie Teobaldzie, boć „lepiej późno jak nigdy" odezwał się inżynier do profesora.

— Ej panie, lepiej „nigdy, jak późno" — na co nam tego, odpowiedział profesor.

— Nie przeniósłbym tego na sobie, żebym pana nie przeprosił.

— Za co?

— Że w owym dniu panu pamiętnym, zapadłszy w tyfus, niestawiłem się panu.

— Tak? to pan nie stawiłeś się? A tak, tak, przypominam sobie. To bagatelka! Domyśliłem się wówczas, że musiałeś pan być chorym. Bądź pan spokojny, puściłem wszystko w niepamięć.

Teobald zmienił się w jednej chwili nie do poznania. Ożywił się, poprawił krawatkę i śmiało zbliżył się do Malwiny.

— Więc pani mi wybacza, że tak źle zrozumiałem twe serce?

— A nie będziesz pan znowu żałować swej miłości?

— Zaręczam, że nie. Już teraz żadne nie grozi nam niebezpieczeństwo.

Obaj panowie nie długo wyszli. W teatrze znaleźli loże obok Heleny i Malwiny i z całym zapałem aplaudowali komedji: „Lepiej późno, jak nigdy".

* * *

W trzy miesiące potem odbyły się dwa wesela przy Łyczakowskiej ulicy na drugiem piątrze na prawo, gdzie już pokoi kawalerskich do wynajęcia nie było.

Pan Celestyn jak bóbr się spłakał z radości na weselu i z wielkiej uciechy, dwadzieścia dziewięć razy pocałował w rękę po muzyku wdowę.

Siostry pani Szaczyńskiej, wczoraj jeszcze Dorębalskiej, już wszystkie zamężne, szczęśliwe, cieszyły się szczęściem tej, która im wiośniane poświęciła rojenia.

Pan Teobald przypatrzywszy się dobrze swej żonie, przekonał się, że ani żaden Romuald, ani porucznik od ułanów, niezatrują mu spokoju małżeńskiego. Malwina cieszyła się, że znalazła męża, — a w dwa dni po ślubie już była u Janowskiego po nowe artykuły toaletowe, ażeby . . . . . . podobać się mężowi.

We Lwowie dnia 26. Listopada 1874.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Liberat Zajączkowski. Czcionkami K. Pillera.